



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Doświadczenie chemiczne.

Często przy doświadczeniach chemicznych, a nawet w pracowniach rzemieślniczych przy obrabianiu metali, potrzebne jest ciepło o wiele silniejsze od tego, jakie nam dać może poprzednio opisana lampka spirytusowa, a nawet płomień węgla lub drzewa. W takich razach podnieca się sztucznie temperaturę tegoż płomienia. Do lampki spirytusowej używamy w tym celu narzędzia zwanego dmuchawką.

Rycina powyższa wskazuje nam łatwy sposób urządzenia takowej ze zwyczajnej glinianej fajeczki. Aby się przekonać o ile płomień, na który się dmucha z takiej dmuchawki jest silniejszy od zwyczajnego, zróbmy doświadczenie z opilkami żelaza. Jeżeli potrzymamy owe opilki nad zwyczajnym płomieniem świecy lub lampki, przekonamy się, że można je

rozrzucać nawet do czerwoności, ale stopić ich nie potrafimy. Żelazo bowiem potrzebuje 1500 do 1600° by mogło ze stanu stałego przejść w stan płynny, czyli stopić się. Gdy jednak na płomień świecy dmuchać będziemy przez ową dmuchawkę, lub naszą glinianą fajeczkę, wtedy zobaczymy, że owe opilki rozpalają się aż do białości i następnie topniejąc, zlać się mogą w jedną masę.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczystała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska

(c. d.)

— Wedle podań kapłanów egipskich, wyspa Atlantyda równała się w obszerności Azji Mniejszej wraz z Lybią. O miejscu jej położenia niema dokładnych wiadomości, a że geografowie oznaczali je na mapach zwykle tam, gdzie jej nie było, więc przypuszczano że zniknęła w głębiach morskich, przy jakiejś wulkanicznej katastrofie. Uczony jeden wpadł na myśl, że to nie było nic innego tylko Ameryka, i że zbłąkane okręty kartagińskie i fenickie, rzucone burzami na brzegi amerykańskie, po powrocie do ojczyzny, rozgłosiły wieść o istnieniu wyspy bez nazwy. Byli tacy, co w wyspach Kanaryjskich, i tacy co w półwyspie Skandynawskim upatrywali resztki pogrążonej w morzu Atlantydy.



— Atlantyda więc nie jest Atlantą, skoro przestała istnieć — pomyślałem. — Gdyby nawet jęj pograżenie się w morzu, było zmyśleniem dla wprowadzenia mnie w błąd, to zawsze Atlanta nie równa się w objętości nietylko Azji Mniejszej z Lybią, ale samej Lybii nawet. Wyspa to wcale nie tak duża, ani też klimat jęj nie podobny jest do klimatu wysp Kanaryjskich, leżących w pasie gorącym, lub Skandynawii daleko na północ wysuniętej.

Ortodoxus jał deklamować dalej swoją odę. Widząc go tak zajętego tym poetyckim utworem, wpadłem na myśl, że może uda mi się niewinnym podstępem wydrzeć mu pożądaną wiadomość, że się uczony doktor nie spostrzeże.

— Atlanta... — wymówiłem półgłosem.

Zamilkł.

— Atlanta—powtórzył zamyślony—Atlanta...

Wstrzymałem oddech.

— Atlanta... miasto w Georgii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Około dwunastu tysięcy mieszkańców. Bywają tam sławne jarmarki bawełniane.

Wypowiedziawszy to jednym tchem, zagłębił się znowu w swoim poemacie.

— Zadrwił ze mnie najwidoczniej — pomyślałem gniewny na siebie, że mi się podstęp nie udał i poszedłem do ogrodów wiszących, gdzie wiedziałem, że główny inżynier urządzał oświetlenie elektryczne. Ciekawy byłem przypatrzyć się tej robocie. Wstępując na schody, spotkałem królewicza schodzącego właśnie ztamtąd. Zatrzymał mnie, mówiąc:

— Janku, w lasku na prawo, przy zbiegu dwóch dróg, kazałem postawić bramę tryumfalną i nieco rozszerzyć drogę, w skutek czego mają tam ściąć kilka drzew. Ale Jęj królewiczowska mość powiedziała mi w tej chwili, że właśnie na jednym z drzew przydrożnych, cudzoziemiec zawiesił coś w rodzaju ołtarzyka drewnianego z daszkiem, jak to ma być zwyczajem w jego kraju. Chciałbym zachować to drzewo, i gotów jestem urządzić bramę w inném miejscu. Idź, zanieś mój rozkaz wielkiemu leśniczemu; niech się nie waży tknąć ani jednej gałęzi tego drzewa, a spiesz, żebyś się nie spóźnił.

Biegłem tak szybko, jakby mi skrzydła wyrosły u ramion i w pół godziny znalazłem się przy rozdrożu. Szkielec bramy był już gotowy, drzewa przydrożne zcięte, ale to które było ozdobione ołtarzykiem, stało nietknięte, widocznie robotnicy byli pobożni i umieli świętość uszanować! Odetchnąłem. Dziwne wrażenie zrobił na mnie widok tego drzewa, a raczej tego ołtarzyka urządanego na sposób prosty, wieśniaczy. W Dębowej Woli, w lesie, był taki sam. Rodzina wioska i każdy w niej zakątek stały mi żywo przed oczyma. Kłąłem przy drzewie i zmówiłem pacierz, jak go tam nieraz odmawiałem, i serce mi się ścisnęło jakimś kurczem bolesnym. Zaczynałem rozumieć tęsknotę za krajem i pojmywać co cierpiał ten nieszczęśliwy człowiek, który tu zawiesił obrazek i daszkiem go osłonił.

Pomodliwszy się, usiadłem na pniu świeżo zciętego drzewa i przypatrywałem się dwóm innym pniom, przy których ziemia posypana była trocinami, niby żółtą mączką, lekko zwilgotniałą od rosy. Słoję drzew rysowały się wyraźnie. Wiele rzeczy, na jakie dawniej nie zwracałem uwagi, zajmowało mnie teraz — zacząłem więc rozpatrywać się w tym rysunku i przypomniałem sobie wszystko, co Viola mówił mi kiedyś o łodydze, boć pnie te nie czem innem były, tylko zciętemi łodygami.

— Dzień dobry, panie pośle! Nad czem to Jego ekscelecya tak дума? — zabrzmiał nagle głoś napół rubaszny, napół serdeczny, głos stworzony do rozbrzmiewania na wielkich przestrzeniach, bo i teraz rozlegał się niby trąba, a echa leśne roznosiły go daleko.

Zerwałem się i pobiegłem naprzeciw — był to bowiem kapitan Tamarix, jego twarz ogorzała, czerwona i dobrodusza, jego barczysta postać, zaledwie mieszcząca się w obcisłym mundurze. Pobyt mój na pokładzie Narcyza i uprzejmość zacnego kapitana, wspominałem sobie nieraz z przyjemnością, więc ucieszyłem się z tego spotkania.

— Ach, panie kapitanie — zawołałem, ściskając dłoń ostrą i twardą — serdecznie rad jestem, że pana widzę. Ale gdzie to pan chował się tak długo, że choć tu jestem dwa tygodnie, ani razu pana nie spotkałem!

— Mieszkam dość daleko od pałacu — odrzekł — miałem jakoś w tej stronie interesów. Przytem dogła osobiście reperacyi Narcyza, bo owa burza morska, o wóczas spotkała, zrobiła parę małych uszkodzeń. A wy pośle widać jakiś zdrowszy, mój dobra! Klimat nasz spy widocznie służy Jego ekscelecycji!

— Panie kapitanie, przestań pan prześladować tym tytułem! — prosiłem, czerwieniąc się po uszy. — dzieje z Pasternakiem? Czy zawsze nusi przy sobie grona amerykańskie kauczukowe?

— O! nie, bo tu na Atlantcie nikt ich nie a przywóz jest wzbroniony. To też nasz sterżek w nowej podróży, a tymczasem nos jego traci powolnie letową barwę.

— A majtek niemowa? Jakże to on się

— Salix.

— Ach, prawda! Co robi Salix?

— Jest w Europie.

— Jakto! opuścił Atlantę? Czy dawno?

— Zaraz nazajutrz po naszym przybyciu. Od, na dwumasztowym statku Tulipan.

— I nie powróci więcej?

— Owszem, powróci zapewne lada dzień. Pojechał na uroczystość pochowania zwłok wielkiego poety i zawiózł wieńiec z naszych kwiatów.

— Ach, czemuż mi o tem nie powiedział! — zawołałem z żalem — byłbym do wieńca dołączył od siebie chociaż gałązkę! A pan, panie kapitanie, czy przyszedłeś tu dziś wyłącznie dla przechadzki, czy też w jakimś celu oznaczonym?

— Trochę dla przechadzki, a trochę z ciekawości. Chciałem zobaczyć, jak też przyjęła się w okolicy moczarów na łące, trawa aromatyczna *Hierochloa borealis*, którą w skrzyniach z taką ostrożnością przywiozłem. Widzę, że równie jak tobie młodzieńcze, klimat Atlanty i jej wyborno służy. Ale nad czem to dumałeś, gdy tu szedłem?

— Widok zciętego drzewa budzi zawsze we mnie smutne myśli — powiedziałem — i porównywał je mimowo z człowiekiem, którego pasmo życia nagle przerwanem zostało. Ten tu oto pień, należał do króla lasów, do dębu. Wczoraj jeszcze gałęzie jego sięgały wysoko i widziały przepływające po nad sobą chmury, a dziś rozrzucone dokoła, walają się w piasku... Przypatrywałem mu się, bo mnie interesuje wewnętrzna budowa łodygi.

— Nic dziwnego, bo to bardzo ciekawe — rzekł pochylając się nad nim Tamarix. Ale jak gładko ten pień został odpilowany! Wszystko najdoskonalej widać.

W samym środku jest rdzeń, którego promienie rozkładają się dokoła w kształcie gwiazdy; na brzegu jest kora, a pomiędzy korą a rdzeniem drewno składające się z licznych obrączek, nazywanych słojami drzewa i po których wiek jego doskonale można obliczyć. Jestto metryka, której nikt fałszować nie zdoła. Ten oto miał lat osiemnaście.

— Jak drzewo rośnie, panie kapitanie? Ze środka czy z wierzchu?



— Ani ze środka, ani z wierzchu.

— Jakto? Przecież powiększać się którydyś musi; każde drzewko jest co rok grubsze i wyższe.

— Tak. Powiększanie odbywa się między korą a rdzeniem. Tam z warstwy młodej, zwanej *bielem* co rok osadzają się nowe warstwy, czyli słoje, jeden drzewny, drugi korowy; dla tego to kora ciągle rozpychana, nosi takie liczne ślady popekań.

— Ale dla czego te słoje drzewne tak się wyraźnie odznaczają? czemu mają jaśniejszą i ciemniejszą barwę? Jeżeli drzewo zawsze jednakowo rośnie, słoje powinny mieć też barwę jednakową.

— Drzewo nie rośnie jednakowo: na wiosnę gdy soki żywo krążą, tkanka drzewa tworzy się prędzej, ale komórki nie są tak skupione i ztąd powstaje drewno rzadsze; w jesieni komórki się ściskają, tworząc ścisłą, twardą tkankę, która różni się od tamtej i barwą i postacią. W zimie drzewo odpoczywa i krążenie soków ustaje. Teraz pojmujesz, dla czego każdej wiosny zarysowywa się tak wyraźnie odmienna warstwa. Gdyby nie to, metryki drzew byłyby zupełnie nieczytelne.

— Czy wszystkie drzewa na świecie są takie?

— O nie, nie wszystkie. W krajach górskich jest wiele drzew niemających takich słoików.

— Dla czego?

— Dla tej prostej przyczyny, że tam nie ma zmiany w porach roku, więc soki krążą w nich z jednakową siłą. Są tam drzewa całkiem innego rodzaju, rosnące tylko w górę, jak trawy i zboża.

— Co jednak w drzewie daje mu taką siłę moc?

— *Włókno*, będące natury komórkowatej.

— Otóż to. Nieraz słyszałem ten wyraz „komórka“ a dobrze go zrozumieć nie mogłem. Co jest właściwie *komórka*?

— To jest organ najpierwotniejszy w każdej budowie roślinnej i zwierzęcej: ma ona postać pęcherzyka lub woreczka utworzonego z błonki delikatnej i przezroczystej. Woreczek ten jest całkiem zamknięty, wypełniony materią galaretowatą, którą nazywają zarodnią czyli protoplazmą. Czasem jedna taka okrągła kuleczka stanowi całą roślinkę, czasem znów kilka lub kilkanaście kulek zczepi się z sobą, niby sznur pereł. Takie są najpierwotniejsze wodorosty. Doskonalsze rośliny pochodzą z niezliczonej ilości takich samych komórek, które wypełniają ich części, zatem liście, łodygi, korzenie, owoce.

— Więc te smaczne brzoskwinie, które jadłem wczoraj, złożone są z takich komórek?

— Tak jest.

— I te jaskry i wrzosy, które rosną u stóp moich?

— Tak jest.

— I ten grzyb, który tu widzę obok pnia.

— Tak jest.

— I ten ptak co tam szybuje wysoko?

— Tak jest, więcej nawet. Ty sam jesteś zbiorem wielu milionów komórek, co prawda komórek bardzo lichych, boś wąły i szczupły.

— Żartuje pan ze mnie, panie kapitanie: nie uwierzę, póki mnie pan jakim dotykającym dowodem nie przekona.

— Dotykającym dowodem.... weź oto ten liść, który zrywam w tej chwili i ścisnij go w palcach. Wysączy się z niego kilka kropli soku, będącego zawartością komórek. Szkoda że nie mam przy sobie mikroskopu... ale znajdziesz go w pracowni królewicza, to sam będziesz mógł się przekonać, położysz na szkle drobną cząsteczkę liścia. Chciałbyś wiedzieć jak komórki wyglądają, nieprawdaż? W miękkich przezroczystych tkankach, zachowują postać okrągłych pęcherzyków; w innych, gdy się ściślej zetkną z sobą i spłaszczą, stają się podobne do plastra miodu, a niekiedy zmieniają się do niepoznania, wydłużają, ściskają i płaczą. Wtedy nazywają się włóknem drzewnem.

— Hm, więc drzewo czy inna roślina, jest to taki sobie

odrębny świat, w którym wszystkie komórki dla całości pracują. Ale jakże one żyją... to jest najprzód, czym się żywią, a raczej jak jadają?

— No, naturalnie bez noża i widelca i nie nakrywa im się do stołu. Pani komórka pomimo szczelnych ścianek pęcherzyka, wciąga w siebie pokarm do środka, to jest, pokarm ten przesiąka przez jej ścianki. Poprostu jada zupełnie sporządzoną z gazów i wody, w której rozpuszczone są minerały.

— Ja przecież inne zupy jadam, panie kapitanie, a pan powiada że mam takie same komórki.

— Ależ ty jadasz rośliny, które zjadły minerały, to więc na jedno wychodzi.

— Prawda.

— Twoje komórki różnią się od roślinnych tem, że nie mają błonki drzewnikowej i tylko ów woreczek z materią galaretowatą, o której ci mówiłem, je otacza; nie mają też zieloni, znajdujących się we wszystkich roślinach, z wyjątkiem grzybów, ani krochmalu. Tem się właśnie różnią komórki zwierzęce od roślinnych.

— No, a jak się komórki mnożą?

— Przez dzielenie. Pokarm dostawszy się do wnętrza komórki, przetwarza się w niej na taką samą materię z jakiej ona się składa. Gdy komórka dojrzeje, przewęza się na połowę i każda połowa otacza się nową błonką, a stara odpada. Każda z nowych komórek znów dzieli się na połowę; w ten sposób z jednej pierwotnej powstaje cztery, potem osm, potem szesnaście, następnie trzydzieści dwie i tak dalej, a roślina wzrasta i powiększa się tym sposobem.



— Gotówbym myśleć że komórki uczą się matematyki...

— A jak tam wszystko szybko i porządnie idzie! Królewicz obliczył, że w niektórych liściach na godzinę przybywa tych komórek dwa tysiące, a są gatunki grzybów, które się jeszcze prędzej rozrastają. Tam już nie na tysiące, ale na miliony liczyć trzeba, bo na godzinę przybywa im sześćdziesiąt sześć milionów nowych komórek.

— A to dopiero fabryka! — zawołałem.

— A co się tam wyrabia w tej fabryce! Mąka, cukier, gumy rozmaite, kwas, słodycz, gorycz, a wszystko z jednych i tych samych materiałów.

— Dziwne, dziwne rzeczy słyszę od pana...

— Byłaby jeszcze niejedna rzecz ciekawa do powiedzenia o tkance drzewnej, ale już nie ma czasu na dłuższą rozmowę. Wielki admirał zachorował, mam więc objąć dowództwo nad flotą naszą, wyjeżdżającą na spotkanie dostojnego gościa. Bądź zdrow.

Uściskał mi rękę i odszedł, a ja wróciłem powoli do Rózanego gaju.

O zachodzie słońca byłem świadkiem wspaniałego widowiska: księżna Primula przyjechała, a trzech bracia powitali ją z okazałością, na jaką tylko Atlanta zdobyć się mogła. Na spotkanie wyjechały trzy braterskie floty i wykonały prawdziwy koncert na morzu zręcznymi obrotami. Zielonko wysłał galowy yacht przystrojony wieńcami, z braćmi Krzyształkiem i Pióropuszkkiem — i księżna przesiadła się do niego i przybiła do portu przy odgłosie salw armatnich i muzyki. Na wybrzeżu witali ją Zielonko z Jagódką, oraz dwie bratowe Iskierka i Perełka. Ja i Albatros trzymaliśmy ogon płaszcza Zielonki, a Viola i kolega jego Orchis, ogon sukni królewiczowej. Oboje mieli szaty sporządzone z różnych włókien roślinnych i klejnoty z pierwiosnków. Znajdując się tak blisko, miałem sposobność przypatrzeć się dobrze Jej książęcej mości. Różowa, uśmiechnięta, jaśniejąca młodością i zdrowiem, podobna była sama do pierwiosnka którego nosiła imię.

Zaledwie wstąpiła na ziemię atlantyjską, powitał ją uczony Ortodoxus klasyczną odą, w której słał jej wdzięki, dobroć i rozum, a wzniosłych i poetycznych porównań zapożyczył aż od Greków i Rzymian. Nauczyłem się już tyle po atlantyjsku, że trochę rozumiem i od biedy mogę się już roz-

mówić, wyrazami najwięcej używanymi w potocznej rozmowie — mógłbym więc ocenić jego erudycję.

Na cichym dotąd dworze Zielonki zapanował ruch niezwykły: wszystkie komnaty napełniły się gwarem. Paziowie i dworzanie biegali na wszystkie strony; posłano konnego posłańca do Abrakadabrusa, którego księżna Primula koniecznie widzieć pragnęła. Wieczorem ogrody wiszące zajaśniały światłem elektrycznym, a stoły do uczt zastawiono w podkowie na placu Bożydara, gdzie wodotryski błyszczwały przy białoniebieskawym świetle jak roztopione srebro.

Na honorowym miejscu przy stole, obok księżnej, zasiadł szlachetny mistrz Abrakadabrus i nie dziwiło to nikogo, bo wszyscy wiedzieli, że z woli królewiczów oddają mu na Atlantycie królewskie honory. Puchary, dzbany, nawet półmiski, ozdobione były kwiatami, a rozmowa toczyła się o najświeższych wypadkach politycznych, a potem o roślinach, zwierzętach i minerałach. Pióropuszek będący w wybornym humorze, wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i rzekł zwracając się do gospodarza.

(d. c. n.)

Z SZOPKĄ.

Chodzą chłopcy z szopką od bramy do bramy.
Ładna nasza szopka, zgrabne w niej laleczki,
Zabawia się pewnie, chłopcy, panieneczki.
— Pozwólcie nam, państwo, to wam zaśpiewamy,
Tu, tam ich wołają, idą ucieszeni,
Bo za to im grosik wpadnie do kieszeni.
Śpiewają chłopaki i zgodnie i ładnie,
Co kiedy należy, co kiedy wypadnie.
Jest w szopce stajenka, w niej żłobek przy ścianie,
Tam Boże Dzieciątko złożono na sianie,
Przybyli pasterze, klękają w pokorze,
I każdy od siebie przynosi, co może.
Szybko się rozchodzi radosna nowina,
Że Bóg dobroliwy zesłał na świat Syna,
I coraz to więcej napływa narodu.
Przybyli z darami trzej mędrcy ze Wschodu,
W małym Jezusie już króla uznają,
Złoto też, kadzidło i mirę składają.
Lecz oto król Herod rozgniewał się srodze.
— Któż jemu monarsze śmie stawiać na drodze?
Więc każe zabijać małeńkie dziecińcy,
Żyjące w granicach żydowskiej krainy.
Aż straszna, koścista śmierć wreszcie stanęła,
Dumnego Heroda jak zdobyczą swą wzięła.
Śpiewają chłopaki i zgodnie i ładnie,
Co kiedy należy, co kiedy wypadnie.
Są w szopce i tany, krakowiaczek żwawy,
Dla większej uciechy, dla lepszej zabawy;
A wkońcu laleczka, niby dziadek stary,
Zbiera od patrzących grosiki, ofiary,
Potem znów do innej idą chłopcy bramy,
Wołając: pozwólcie, ładnie zaśpiewamy!

Helena Bojarska.

LEGENDA MUŻULMAŃSKA.

Legenda muzulmańska o Salomonie przypisuje mu rozumienie języka ptaków. Pewnego dnia, zaczawszy rozmawiać z niemi poufale, zdumiał się potężny monarcha nad głębokimi uwagami, jakie mu ptaki wygłaszały:

— Dużo jest ludzi — rzekła tkliwa gołębicą, dla których lepiej byłoby nie żyć wcale.

— Umieć zadowolonym być z losu swego — odezwał się słowik — to najpożądane dobro.

A dudek westchnął: — Ten, kto nad nikim litości nie czuje, sam jęj nie dozna, gdy jęj potrzebować będzie.

Skowronek zaś: „Dobrze czyńcie, nagroda was za to nie minie”.

Kruk odludek: „Im dalej od ludzi, tem mi lepiej”.

Kogut, ranny ptaszek: „O Stwórcy swoim myślcie, o wy, śmiertelnicy lekkomyślni!”

Z pośród tej rzeszy skrzydlatych śpiewaków, Salomon wybrał i zatrzymał przy sobie dudka, dla tego że miłosierną myśl wypowiedział, oraz koguta dla tego, że wieszczem spojrzeniem przeniknąć mógł do głębi ziemię i wskazać źródła wody żywej, pod piaskiem pustyni ukryte. Prócz tego, sympatya jego pozyskał i gołąb, któremu rozkazał obracać sobie siedzibę na murach świątyni. W kilka lat potem tak się już rozmnożyły gołębie, że bijących skrzydeł kotarą zwieszały się nad głowami pielgrzymów w dnie świąteczne do Jeruzolimy przybywających.

Aby więcej dzieł ręki Bożej oglądać, aby umysł swój oświecić, podróżować zaczął Salomon nie tak jednak, jak my podróżujemy, biedni śmiertelnicy, ciężkimi pojazdy lub grubo ciosaną łodzią, po błocie i grudzie, lub po burzliwej toni morskiej. Nie, nie tak przebiegał przestwory Salomon, król nad króle. Dzięki cudownej nad całym światem władzy, wynalazł on sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce, przy którym najwspanialsze wagony kolei żelaznych, oraz najbogatsze palankiny wielkorządców Indyi nędznymi tylko będą pudłami. Oto utkać kazał Dżinom (*Dżin*, istota nadprzyrodzona) z jedwabiu kobierzec, mający cztery mile rozległości! Pośrodku tego to kobierca ustawiono tron jego złoty, w około złote, srebrne, drewniane siedzenia dla mnóstwa różnego stanu osób, które król z sobą zabierał, a prócz tego potrzebne sprzęty i zapasy żywności wszelakięj.

Gdy już zakończono wszystkie przygotowania do podróży, zasiadł Salomon na tronie i wiatrom wydawał rozkaz, by służbę swoją pełnili. Natychmiast więc wiatry lekkim tchnieniem kobierzec w górę niosły, potem zaś szybkim lotem pędziły go we wskazane im miejsce. A ponad tą karawaną napowietrzną ważyła się wielka ptaków chmura, których skrzydła słońcem wyzłocone, baldachim tworzyły wspaniały.

Pewnego dnia, gdy promień słońca przedarłszy się przez żywe to sklepienie, złotą plamą padł na kobierzec, zmiarkował król, że ptaszę któreś zbiegło z wyznaczonego mu stanowiska. Orła więc przywoławszy, o nazwisko winowajcy zapytał, a orzeł gdy po nazwisku wszystkie ptaki swój rotę wywołał, dudka o zbiegostwo obwinić musiał przed królem.

Po niejakiem czasie zjawił się winowajca cały drżący i głowę pochylając przed królem:

— Obowiązkowi, królu, uchybiłem — rzecze. — Lecz gdy się dowiesz, dla czego pozwoliłem by mnie zdala od ciebie odwiedziono, wybaczysz mi, pewien jestem.

— Mów — odrzecze mu Salomon, bo jakkolwiek gniwny na ptaszynę, nie chce jednak, nie wysłuchawszy jęj, wydać na nią wyrok potępiający.

— Wiedz zatem, królu, że spotkałem niedaleko od Mekki znajomego mi dudka, który taki skreślił mi obraz cudnych dziwów krainy Saba, że nie mogłem oprzeć się chęci odwiedzenia tej ziemi nad ziemie. I powracam stamtąd, o królu, skarby jęj widziałem nieprzebrane i królowę ziemi tej, Balkis, cudniejszą nad wszystkie królowe świata!

Tak więc, według podania muzulmańskiego, mały ptaszekawiadomił Salomona o istnieniu potężnej monarchii, której podróż do Jeruzolimy Księga królów opisuje.

Za dni naszych dudek nie wynajduje już królujących nad ziemią skarbów piękności, ale stawia przed oczyma ludzi piękny wzór miłości synowskiej.

Lud opowiada o nim, że gdy młode dudki spostrzegą, iż ojciec ich postarzaawszy się, niedowidzi i z trudnością latać już może, wnet zaczynają mu jedzenie przynosić do gniazda, wyjmują mu osiwałe piórka, oczyszczają mu oczy i rozgrzewają go, kładąc nań skrzydełka własne, aż pokrzepiony na siły się wzmoże i z gniazda na lot wyruszy raz jeszcze...

T. P.



KROPLA Z KROPLĄ BĘDZIE MORZE.

obrazek dramatyczny
przez Sewerynę Duchinią.

OSOBY.

PANI POLESKA.

PAN POLESKI.

WANDA.

JADWIGA } córki pani Poleskiej.

JANOWA, uboga wdowa.

JAGUSIA, jej córka.

MAGDUSIA, służąca.

Rzecz dzieje się zeszłego lata w Warszawie.

SCENA PIERWSZA.

PANI POLESKA, JADWIGA, WANDA,
potem MAGDUSIA.
(matka i córki, przeglądając książki położone na stole).

WANDA (pokazując matce otrzymane nagrody).

Patrz mameczko, com dostała:
Nagrodzone moje trudy:
Tu w obrazach ziemia cała,
Wszystkie kraje, wszystkie ludy.
(przegląda książki i podaje matce).

Mamie skarby me przeliczę:

Oto dzieła przyrodnicze,
Z przed potopu zwierząt ślady,
A tu ptaki, ryby, gady,
Tu znów książki innej treści:
Poemata i powieści!

JADWIGA.

Ja mam prace Hofmanowej,
Naszych wieszczów zbiorów nowy,
Dzieła Jana z Czarnolasu,
A tu pieśni Deotymy!

PANI POLESKA.

Dzieci moje — wyście czasu
Nie traciły przez trzy lata,
(ukazując książki).

Jakże drogą ta zapłata
Sercu matki!

(ociera łzy).

WANDA.

Placzesz mamo!

Czyż się godzi w taką chwilę!

PANI POLESKA.

Czemu płaczę?... bo mnie samą
Dziś spotyka szczęścia tyle.
Czemuż ze mną go nie dzieli
Biedny ojciec!...

JADWIGA.

Ach! jeżeli

Bóg sieroctwa goi rany
On nam rosę spuścił z nieba,
Błogosławić nam go trzeba,
Wszak nasz ojciec ukochany,
Dni w mozolnym przeżył trudzie,
Rzucał w serca złote ziarno,
Otóż siejbę tę ofiarną,
Ocenili zaci ludzie!

WANDA.

Pamięć o nim siłą naszą,
On z za grobu na nas woła.
Dzieci moje, w górę czoła!
Wszak was trudy nie ustraszą,
Niechaj czyni co kto może,
Z ziarenek piasku góry rosną,
Kropla z kropłą — będzie morze!

PANI POLESKA.

Jakże w duszy mi radość,
Gdy podobne słyszę słowa!
Drogie córki! szkoła nowa
Wnet przed wami się otworzy,
Z ziarn rzuconych w serca dzieci
Zakiełkuje posiew Boży!
I mych smutnych dni ostatek
Nową zorzą mi zaświeci!

WANDA.

Tak mameczko!

(pani Poleska tuliąc do serca obie córki).

Moje dzieci,

Stryj was śpiesznie na wieś wzywa,
Użyjecie tam swobody.

JADWIGA.

Co za radość biedz do żniwa
Iść do lasu na jagody,
I z bławatków spletać wieńce,
I odetchnąć piersią wolną!

PANI POLESKA.

Tam odkwitną wam rumieńce,
Przygaszone pracą szkolną,
Czas wyjazdu już się zbliża
Zakrzatajcie się dziewczynki.
JAGUSIA (wbiegając z listem, do Wandy).
List, panienko!

WANDA.

Zkąd?

JADWIGA (patrząc na list).

Z Paryża!

(Magdusia odchodzi).

PANI POLESKA.

List... od kogo?

WANDA (otworzywszy list).

Od Halinki.

(czyta na głos).

„Piszę do was — cóż powiecie?
Z szczytu wieży słynnej w świecie,
Co tu widzę? któż wypowie!
U stóp moich istne mrowie,
Nie rozróżnić ludzkiej twarzy,
Czy to prawda? czy się marzy?
Wielkich gmachów tam tysiące,
I kopuły złotem lśniące,
Istne cacka — to z kart budki,
Cały Paryż tak malutki!
Ale niechno rzucę wzrokiem,
Po przestworzu, po szerokim!
Tam się cudnie las zieleni,
Tu Sekwana błyska białą,
Od słonecznych wkrąg promieni,
Cała przestrzeń rozgorzała.”

JADWIGA.

Istne dziwy!... Czytaj dalej...

WANDA (czyta).

„Już południe, słońce pali,
Tu mi oczy blask osłepi,
List dokończę w domu lepij.
Trzeba rozstać się z błękitem,
Czary poić się nowemi,
Winda ściąga z piskiem, zgrzytem,
Już dotykam stopą ziemi,
Ot i pałac, gdzie zebrany
Kwiat przemysłu wszystkich ludów,
Jak opisaś tyle cudów!
Owe serwskie porcelany,
Gobeliny i kobierce,
Tych lyońskich błysk jedwabi;
Płonie głowa... bije serce!
Odurzona tym urokiem,
Chcę te cuda objąć wzrokiem...

Nadaremno! myśl w obłędzie,
Kraży senna jak wśród lasu,
Ej, nie mała z biegiem czasu,
Nim się wątek z niej dobędzie.”

PANI POLESKA (wstając).

Czytajcież liścik same,
Ja nie mogę zostać dłużej.

WANDA.

Czy ten liścik nudzi mamę?

PANI POLESKA.

O! bynajmniej! lecz podróży
Nam odkładać nie wypada,
Stryj wyjeżdża z nami przecie
Czas się wybrać — trudna rada!
Wy mi resztę opowiecie.

JADWIGA (składając list).

Nie uciecze list Halinki,
Teraz mamie pomóżdź trzeba.

PANI POLESKA (patrząc na zegarek).
Mamy czasu pół godzinki,
Zaczem słońce znijdzie z nieba,
Muszę oto wpaść na chwilę
Do tej wdowy... (odchodzi).

SCENA DRUGA.

WANDA, JADWIGA.

JADWIGA.

Czytaj proszę,

WANDA (czyta).

„Gdzie rzucić okiem, cudów tyle!
Teraz myślą was przenoszę
Do tych działów gdzie na gody
Plon przyniosły tu narody.
Od południa Włoch zuchwały,
Przez alpejskie wdarł się skały,
Błysnął sztuką świata znaną:
Tu mozaiki, szkła z Murano,
Z Neapolu moc koralu,
Ułowionych z morskiej fali;
Z majoliki cudne czary,
A Helweta, prawnuk Tella
Przyniósł hafty i zegary,
Czegoż północ nam udziela?
Szwed kosztowne śle żelaza
Norweg wiejskie przysłał chaty,
W których mieszka lud bogaty,
Niedotknięty obcą skazą,
Zbiegam krajów szereg liczny,
Każdy swoim pyszny plonem,
A muzyka Edisona
Królem siły elektrycznej,
Jego pomysł — czar nad czary —
Brnie przez fale, wichry goni;
Pieśń wygrana u Niagary,
Tu nam w ucho wnet zadzwoni!”

JADWIGA (z uniesieniem).

Gdybyż widzieć one cuda!

Gdyby słyszeć tę pieśń nową!

WANDA (smutno).

Próżne chęci, czcza ułuda!

Nie przebijesz muru głową!

JADWIGA (żywio).

Czekaj Wańdziu!

WANDA (czyta).

„Czyż opiszę,

Co tu widzę, co tu słyszę!
W głowie zamęt — myśl w bezładzie.
Mkną po szynach lotem strzały:
Ku cudownej Esplanadzie.
Widzę ludy z ziemi całej
Niby pszczolne rojowiska,
Czarny murzyn okiem błyska,

Tunezyjczyk z Kartaginy
Chwali towar lśniący złotem,
Afrykańskie Beduiny,
Siedzą pysnie pod namiotem.
Tonkińczyków całe roje,
Anamity i Cypoje,
Każdy strzeże swęj pagody."

JADWIGA (z żalem).
Ach! nie dla nas takie gody.

WANDA (smutno).
Tak, nie dla nas!

JADWIGA.
Czytaj żywo!

WANDA (czyta).
„Te pagody, istne dziwo!
W tęg się rozsiadł olbrzym Buda,
W tamtęj pelza potwór smoczy,
To lotusu kwiat uroczy...
Cóż dopiero gdy się uda
Widzieć Bonzów poczet mnogi,
Jak w pagodzie czczą swe Bogi!
Wśród tych pagód i meczetów,
Rozrzuconych tu w około,
Wśród strzelistych minaretów,
Ponad chmury wznosi czoło
Gmach nieznany dotąd światu,
Stary pomnik Angor-Watu,
Ten ogromem aż przstrasza!

JADWIGA (z zapalem).
Jak szczęśliwa Halka nasza,"
Czytaj dalej...

WANDA (czyta).
„Wszystko zgasło
Przed tym czarem kiedy nocą
Działo z wieży rozgrzmia hasło!
Kiedy nagle zamigocą
Barwnych światel miliony!
Gdy ich urok podniecony
Elektrycznej iskry czarem,

Rozpościera nad obszarem
Blask szafirów i opali.
Cóż gdy wieża się zapali,
Rubinowe sygnie błyski,
Gdy zaszumią wodotryski,
Strojne w kolor coraz nowy,
Jak ognisty luk tęczowy,
Trudno pojąć takie cuda,
Trzeba widzieć je na oczy!"

JADWIGA (żywo).
Gdyby można!

WANDA (smutno).
Próżna złuda!
JADWIGA (rozpromieniona).
Mało serce mi nie skoczy!

WANDA (z podduniem).
Trudno... trudno.
(w tęg chwili wchodzi pan Poleski).

SCENA TRZECIA.

WANDA, JADWIGA, PAN POLESKI.
(Wanda spostrzegając stryja na stronie).

WANDA.
Stryj! o Boże!
Był tak blisko, słuchał może!
PAN POLESKI.
Co czytacie?

WANDA.
List Halinki.
PAN POLESKI (siadając).
Cóż donosi Halka wasza?
Na wystawę czy zaprasza?
Posłuchajcie mnie dziewczynki,
Dobrze poszła sprawa z wełną,
Mam sakiewkę złota pełną
Wam też dzielnie sła nauka,
Wiem... serduszek wasze puka,

Do paryżkiej tęg wystawy,
Mówcie prawdę bez obawy.

JADWIGA (z radością).
Stryju drogi!

WANDA.
To żart przecie?
PAN POLESKI (poważnie do Wandy).
Nie żartuję, moje dziecię,
Za dni cztery wyjeżdżamy
Cóż ty na to?

JADWIGA.
Czy być może?
PAN POLESKI.
Nie pytałem jeszcze mamy,
Ale skoro rzecz przedłożę,
Nie odmówi, ręczę za to,
Wszystko idzie nam jak z płatka,
Mama na wsi spędzi lato,
A Halina i tęg matka
Nie posiedzą się z radości,
Chętnie miłych przyjmą gości;
Jch opieki bądźcie pewne,
Wszak to bliskie nasze krewne.

WANDA (ściskając rękę stryja).
O! stryjasku!

JADWIGA (z radością).
Stryjciu złoty!
(na stronie).

Czy to prawda? ja się boję!

PAN POLESKI.
Gospodarcze zdam kłopoty
Mamie waszęg, a my troje
Het zagony, lasy, rzeki,
Popędzimy w świat daleki.
(patrzy na zegarek).
Muszę odejść, lecz za chwilę
Będę z wami. (odchodzi).

(d. n.)

SPRAWOZDANIE KONKURSOWE.

Zaczynamy sprawozdanie konkursowe od serdecznego podziękowania za życzenia Świąteczne, za które równie serdecznymi płacimy. W imieniu obdarowanych ubogich dzieci dziękujemy wam tęg za nadesłane, ciepłe zwłaszcza ubrania. Przy dokuczliwych zimnach, jakie nam wszystkim dały się we znaki, podarki wasze uchroniły niejedno dziecko od przeziębienia się, a skutkiem tęg od ciężkiej choroby. Niektóre np. z nadesłanych ubranek dostały dzieci, chodzące do ochronki w te mrozy w perkalowych bluzkach. Do końca zimy daleko jeszcze! a zatem wedle sił i możliwości nie zapominajcie i nadal o rówieśnikach, którym brak cieplej odzieży. Szczególniej ubranka dla chłopców bardzo by nam się przydały. Poczciwym serduszkom waszym polecamy również chore dzieci w Szpitaliku. Podzielcie się z niemi w tęg zwłaszcza porze, gdy rodzice i krewni obsypują was zabawkami. Jakąż to radość sprawiają tam drowniany konik, lalka lub książeczka z obrazkami!

W wypracowaniach waszych znać jak zwykle szczerą chęć napisania ich jak najlepiej, a powtarzamy wam zawsze, że to najwyższej cenimy.

Oddział pierwszy: Czytelnicy od lat 13 do 15-tu.

Na przeznaczoną nagrodę „Sielankę Brodzińskiego z ilustracjami Andriolego p. t. Wiesław” zasługuje 14 letnia Halka z L. Kto w młodym wieku tak gorąco kochać umie wszystko, co kochania godne, ten z pewnością potrafi kiedyś odpowiedzieć obowiązkom swoim.

Nagrody 2go stopnia otrzymują: 14 Bartek. 13letnia Biała Ostróżka, 14 letnia Gąska i 14 letnia Królowa wrózek.

Na pochwalną wzmiankę zasługują: z 13 letnich Figlarka i Czubata kokoszka.

Z 14 letnich: Mimoza, Gałazka heliotropu, Zorza, Białonóżka z pod Karpat i Grażyna.

Oddział drugi: Dzieci od lat 10 do 13-tu.

Nagrodę p. t. „Cztery miesiące pobytu wśród dzikich” otrzymuje 11 letnia Jaskółka z nad Bohu, która ślicznie opisała pomoc niesioną ubogim podczas wesołęg w lesie zabawy.

Nagrody 2-go stopnia: 12 letnia Chmurka lipcowa i 11-o letnia Góralka. Niemniej tęg na pochwalną wzmiankę zasługują: 11 letnia Chmurka złocista oraz z 12 letnich: Gwiazdka nadziei, Jaskółka z nad Ussy, Konwalia z nad Teśminu, Kukułka z pod Lublina, Światelko i Cicha fala.

Oddział trzeci: Dzieci do lat dziesięciu:

Nagrodę p. t. „Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciółmi, otrzymuje siedmioletni Benjaminek.

Nagrody 2-go stopnia: 9 letni Kozak Sawa i 10 letnia Prymulka.

Na pochwalną wzmiankę zasługują: Pacholę ośmioletnie. z 9 letnich: Maciek podolak, Pękata baryłeczka i Tęcza z nad Jatrani, oraz z 10 letnich: Zimowa chmurka, Gospoia taty, Stokrotka z Kutu, Mała Gadulska, Janosik z nad Bugu i Iskierka z pod Lublina.

Słowo zachęty należy się od nas: 8 letniemu Gwiazdzistemu niebu, 10 letniej Trójkolorowej koteczce oraz 10 letniej Wiewióreczce inflanckiej, chociaż drobne niedokładności w wypracowaniach ich zauważyć się dają. Gwiazdziste niebo i Trójkolorowa koteczka nie podali nam nazwiska swego ani adresu.

Oprócz tego nadesłali nam jeszcze wypracowania: 12-o letnia Biała powójka, która zapomniała dodać, gdzie mieszka i jak się nazywa; Lobelia, Biała karta, Niezapominajka z nad Łydyńi, Wośła Leśmierzanka. Mgła, Gama C-dur, Gospoia z pod Lublina, Słonecznik, Zakryta karta, Horpyna, Rotniczanka, Sosenka, Jaskółka z Czerwonej Rusi oraz 16 letnia Carmen, która wprawdzie latami przenosi należące do konkursu, ale nadto ma swój własny konkurs staruszek, na który zapewne nadesła nam wypracowanie. Wypracowań Nieśmiały, Dziewoi i Wieśniaka podlaskiego nie wiemy, do którego działu zaliczyć, bo żadne z nich nie napisało, ile ma lat.

ROZMAITOŚCI.

KOŃ KORTEZA.

Fernand Korteza zdobywca Meksyku, wybrawszy się z oddziałem wojska do Honduras, dla ukarania swego namiestnika Christobala de Olid, który się był niepodległym ogłosił, napotkał w podróży przeszkody, które zdziesiątkowały jego wojsko i z niedobitkami tylko kilkotysięcznego oddziału dotarł do brzegów jeziora *Peten*, położonego na północ od Guatemali, a na południe od prowincyi Yucatan.

Jezioro to, mające cztery mile szerokości, długości zaś ośm do dziesięciu, leży na umiarkowanie wyniesionem płaskowzgórzu, i otoczone wkoło wieńcem lesistych gór, zasiane jest archipelagiem drobnych wysepek, na których wznosiły się wówczas mury miasta, zamieszkałego przez meksykańskie plemię *Itzaesów*. Monarcha ich przyjął gościnnie przybywających Hiszpanów i sam osobiście towarzyszył Kortezowi do *Tayasal*, miasta położonego nad jeziorem, a godnego widzenia z powodu świątyń, zbudowanych na ogromnych piramidach, które z głazów ciosowego kamienia dźwignięte, wznosiły się nad miastem niby olbrzymie a odwieczne strażnice.

Do liczby tych świątyń przybyła niebawem jeszcze jedna. Korteza miał ulubionego wierzchowca, któremu na imię było Morzillo, i ten zachorował w podróży tak ciężko, że zamiast go brać z sobą w dalszą drogę do Honduras, Korteza powierzyć go musiał staraniom *Itzaesów*. Ci którym konie były dotąd nieznane, zaczęli oddawać rumakowi cześć boską i nadali mu nazwę *Tzimin Szak*, czyli „zwierzę grzmotów i błyskawicy”, a to dla tego, że widząc jeźdźców w orszaku Korteza strzelających z konia do sarn, wyobrazili sobie, iż to konie są sprawcami huków i błysnięcia, podobnego do grzmotu i błyskawicy.

Uważając więc Morzilla za bóstwo, nie tylko otoczyli go największą troskliwością, ale jeszcze składać mu zaczęli ofiary. Niestety! były to ofiary... ze zwierząt, a choć nie skąpili mu ich *Itzaesowie*, biedny *Morisillo* zdechl nad niemi z głodu.

Wtedy to, obawiając się gniewu Korteza, wzniesli krajowcy zagłodzonemu rumakowi wspaniałą świątynię na szczycie ciosowej piramidy postawioną, i na jednej ze ścian wyryli postać swego bożyszcza w naturalnej wielkości. *Tzimin-Szak* wyobrażony w chwili, gdy dęba staje i zaliczony do rzędu głównych bóstw, odbierał cześć boską dopóty, dopóki plemię *Itzaesów* zachowało niepodległość swoją.

W końcu XVII-go w. gubernator Yucatanu, Marcin Ursua, ruszył z wojskiem nad jezioro *Peten*, zdobył miasto *Tayasala*, z ziemią zrównał piramidy i świątynie i założył tam nową osadę, którą Hiszpanie nazwali: *Flores*.

ZAGADKA.

Moje pierwsze, w ludzkich siedzibach rządzie
Nader łatwo odgadnąć wam będzie.
Drugie wyspa i nuta, a trzecie,
Także między nutami znajdziecie.
Wszystko wreszcie tą się szczyci chwała,
Że najpiękniejszą postać dziejową wydało.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Czyżyk-

Z następujących zgłosek: cim — nie — mor — go —
cho — dy — in — Ro — żno — ger — Ni — Ma — A —
— nek — ułożyć sześć wyrazów. Znaczenie: 1. Imię zakonni-
ka sławnego w historii. 2. Bożek pogański. 3. Miasteczko pa-
miętne śmiercią Przemysława. 4. Miasto pamiętne zwy-
cięstwem Sobieskiego. 5. Nazwisko nadane pierwotnym mie-
szkańcom Ameryki. 6. Rzeka w Afryce. Początkowe i koń-
cowe litery utworzą imię i nazwisko kronikarza polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Szarady:

K a t y l i n a.

Zadania konikowego:

Boże! z Twoich rąk żyjemy,

Choć swojemi pracujemy;

Z Ciebie plenność miewa rola.

„Modlitwa podczas pracy w polu” F. Karpińskiego.

PRENUMERATA WYNOŚI:

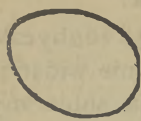
W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) Szopka, wiersz p. H. Bojarską (z drzew.) — Legenda muzułmańska. — Kropla z kroplą, będzie morze, obrazek dramatyczny p. Sewerynę Duchińską. — Sprawozdanie z konkursu. — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania — **Dodatek:** Łatwy rysunek, wiersz (z drzew.) — Przykładne kotki p. V. Cairo. — Mała rzecz a wstyd p. Wiochnę z pod Lublina. — Skarby starej skrzyni (c. d.) Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

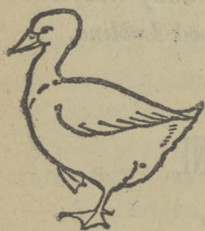
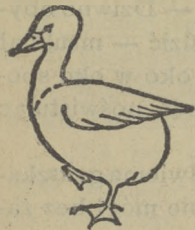
WIECZORY RODZINNE.

ŁATWY RYSUNEK.



Oto jajko — chcecie z niego
Gęś uczynić, gęś prawdziwą?
Poczekajcie! ja pokażę,
Jak się robi takie dziwo.
Najprzód dodam jajku szyję
Dziób i głowę — mówiąc szczerze
Jajka z głową nikt nie widział,
Lecz już pozór ptaka bierze.
Potem dodam skrzydeł parę
I dwie nogi: jedna krzywa,
Czy też trochę podniesiona
I ot! jest i gęś, jak żywa!
Teraz jeszcze dla parady
Trochę kusy ogon zrobię
I gotową gęsią służę.
— Hul! na wodę ruszaj sobie!

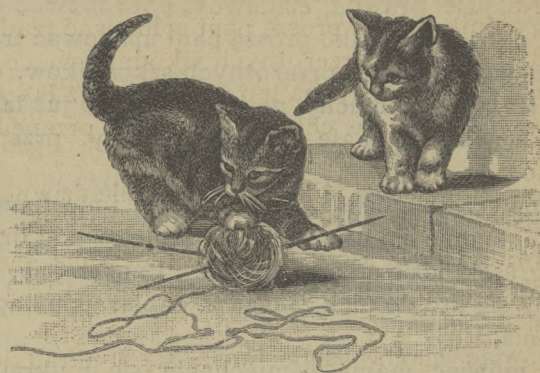
PRZYKŁADNE KOTKI.



Janek i Celinka byliby bardzo
milutkimi dziećmi, gdyby na nie-
szczęście nie mieli jednej bardzo
nieładnej wady — zazdrości. Było
niepodobieństwem dać coś jednemu
by drugie wnet nie zaczęło płakać,
tupać nóżkami i wydzierać to sobie
przyczem zwykle pożądaný przed-
miot padał ofiarą kłótni, ulegając zniszczeniu. I tak:
skoro Janek dostał konika a Celinka lalkę, co się
niejednokrotnie zdarzało, ponieważ upodobania chłop-
czyka innemi być powinny od zabawy dziewczynki,
Celinka wybuchała płaczem i tupiąc nóżkami wołała:

— Nie chcę lalki! Co mi tam po lalce! Ja chcę
konika!... Janek znów obstawał gorliwie przy swęj
własności i wszczynala się kłótnia, na której odgłosy
zbiegali się wszyscy do pokoju, sądząc że przytrafiło się
jakie nieszczęście. A tu oto co zastawali:

Janek trzymał konika za łebek, Celinka za ogon,
i ciągnąc go ku sobie, krzyczeli wniebogłosy. Lalka już
wtedy leżała spokojnie na ziemi i z pewnością gdyby
Jankowi przysła na nią ochota, siostrzyczka broniłaby
swęj zabawki z równą energią. Naturalnie po takiej
przeprawie z całego i nowego podarunku pozostawały tylko
szczątki, i dzieci mogły być tēm samém już dostatecznie
ukarane, ale niestety nic to nie pomagało i za każdym
razem teny zazdrości powtarzały się po dawnemu.
Najwięcej cierpiała na tem dużo od nich starsza sio-
strzyczka Wandzia, która po śmierci ukochanej mate-
czki zastępowala im jęj miejsce: nieraz też mówiła ła-
godni:



Kitusia i Mrumru.

— Moi drodzy! Pomyślcie jak to nieładnie być
tak zazdrosnymi. Teraz doprawdy nie będzie wam mo-
żna dać żadnej zabawki i uprzedzę o tem wszystkich,
bo zamiast przyjemności macie tylko sposobność oka-
zania swęj brzydkiej wady...

— Wandeczko! już nie będziemy! — obiecywali ze
skruchą odwracając zawstydzone oczęta — ale „obiecanka
cacanka” jak to mówią i w parę dni, przy pierwszej
okazyi było toż samo.

Pewnego razu pojechali odwiedzić babunię. Bab-
cia chowała ulubioną swoję kotkę i dzieci ucieszyły się
niezmierznie na wiadomość, iż przybyło jęj niedawno
dwojemalutkich kociąt, które nazwano Kitusią i Mru-mru.
Naturalnie zabawa była tylko z niemi. Janek chwy-
cił na ręce Kitusię, Celinka Mru-mru i pierwszy raz ba-
wili się jakoś zgodnie. Kotki były bure w białe łatki
i bardzo grzeczne. Skoro po ukończonej zabawie dzieci
puściły je na ziemię, chodziły sobie razem, figlowały aż
nagle natrafiły na kłębuszek bawełny, który stoczywszy
się ze stoliczka babuni, spoczywał sobie na podłodze nie-
dostrzeżony. Kitusia, która go pierwsza zobaczyła, rozpo-
częła zabawę, podczas której Mru-mru ze spokojną min-
ką stał na boku, przyglądając się jak zręcznie łapką
rozwijala długą nitkę. Miał widocznie wielką chęć
pobawić się na swoję rękę, ale grzeczność nakazy-
wała mu zostawić pierwszeństwo siostrzyczce, i nie zabrał
się do figielków, aż ta ostatnia nabawiwszy się dowoli
odeszła inną stronę. Janek i Celinka zauważyli to w mil-
czeniu i widocznie porównywali w myśli zachowanie się
kotków do własnego postępowania, bo gdy podniosł-
szy główki spotkali się z wymownym wzrokiem Wandzi
zarumienili się jak wisienki, i odtąd nie sprzecali się już
nigdy...

V Cairo.

MAŁA RZECZ, A WSTYD.

Widzicie, Łukaszu jakie to piękne trzy gruszki doj-
rzewają na tym drzewku z Warszawy? — mówiła mama
do ogrodnika, wskazując trzy duże, żółtawe gruszki,
zwieszone między zielonemi liśćmi.

— Ja już dawno zważam je sobie i strzegę jak rodzzonego dziecka — odparł Łukasz z przejęciem.

— Dobrze robicie; to drzewko ma dopiero pierwszy raz owoce, chciałabym spróbować, jakie będą, podobno są wyśmienite.

— No, juści prawda, ciekawość popробować — potwierdził ogrodnik — tylko proszę pani upilnować trudno, ani się opędzić od tych przeróżnych szkodników, co się do sadu złażą, niby muchy na lep. Taki to już łakomy naród, a csobliwie małe chłopaki urwisy, przepędzić ich trudno.

— Zwyczajnie dzieci, lubią łakocie i nic dziwnego, ja też nie bronię im czasem kilku jabłek z pod drzewa, ale o te gruszki idzie mi szczególnie. Pamiętajcie, Łukasz, jakby się kto do nich zakradał, zabierajcie kapelusz bez pytania.

To mówiąc mama uśmiechnęła się i ukradkiem spojrzała na ośmioletniego synka. Ale Kazio zajęty był gorliwie drażnieniem ogrodnikowego Zagraja i nie słyszał wcale słów mamy, albo... może tylko udawał że nie słyszy, gdyż wiele mówiący rumieniec zabarwił jego opalone policzki pod szerokim kapeluszem z żytniej słomy.

— Dobrze, proszę pani, przyłapię ja szkodnika niechybnie — zakończył jeszcze Łukasz i poszedł do swjej roboty, a za nim pobiegł Zagraj uszczęśliwiony, że wydobyl się wreszcie z psotnych rąk Kazia.

— Co znaczyło spojrzenie i uśmiech mamy i rumieniec Kazia? Nie wiem; trudno wyrzec coś stanowczego w tym względzie, gdyż ludzkie sądy i przypuszczenia mylne są często, ale chodziła ogólna pogłoska, że głównym szkodnikiem w owocowym i warzywnym ogrodzie, bywał zawsze nikt inny, tylko Kazio we własnej osobie. Podejrzenie to wyszło podobno od Łukasza, który utrzymywał, że nieraz zdarzyło mu się dojrzeć z daleka słomiany kapelusz i granatowe ubranie wśród drzew, ale gdy nadbiegł na miejsce szkody, nie zastał już nikogo, tylko połamane gałęzie i zgniecioną trawą świadczyły, że jakaś żywa istota przemyciała się tamtędy. Widzimy z tego jednak, że zarzuty Łukasza opierały się tylko na przypuszczeniach, a dla tak niepewnych dowodów, nie należy jeszcze potępiać bohatera tego opowiadania. Zresztą, cierpliwości, może nieprzewidziane okoliczności rozjaśnią tę zagadkę ciekawym czytelnikom.

Pewnego dnia mama i ojciec siedzieli w ogrodzie z kilku osobami, przybyłymi w odwiedziny z sąsiedztwa. Kazio uwolniony z tego powodu od lekcji bujał gdzieś po świecie, bardzo blisko może... ale lepiej nie uprzedzać wypadków.

Rodzice i goście odpoczywając w cieniu starych drzew, zabawiali się miłą pogawędką, przyczem jako w porze letniej, obfitującej w owoce, zmówiło się coś o gruszkach.

— Dobrze, że pamiętam — rzekła wtedy mama — poczęstuję państwa przewybornemi gruszkami sprowadzonymi z Warszawy... wprawdzie jest tylko trzy, a osób sześć, ale podziemiły się jakoś na spróbowanie.

W tej chwili uliczką przebiegł Łukasz zgrzany, czerwony, kierując się w stronę sadu.

— Ogródniku, przynieście te trzy gruszki — zawołała mama.

— Właśnie tam pędzę — odparł zadyszany. — Zagraj cość okrutnie ujada pod drzewem... musi przyłapię szkodnika.

Za chwilę powrócił z zadowoloną miną niósł wprawdzie w liściu kapusty tylko dwie gruszki, ale zato w drugiej ręce słomiany kapelusz... Kazia!

— Proszę pani — opowiadał, oddając zdobycz mamie — przylatam pod drzewo, a tu nic nie widać jeno Zagraj szczeka, a szczeka bezustannie, ja sobie myślę tedy: Trzęsnę drzewem, to zleci ptaszek, jeżeli tam siedzi; a może się przywidziało psinie? Aż tu, bęc, kapelusz na ziemię, ja się schylam po niego, a coś mi skoknęło przez głowę i nuże umykać w krzaki. Nie goniłem, ale przynoszę kapelusz wedle rozkazu i dwie gruszki, bo trzecię niedopatrzyć więcej...

W tej chwili z za drzew wypadł Kazio z roztarganą głową, w pomietém ubraniu, a co najgorsza, bez kapelusza. Nie spodziewając się zastać rodziców i gości na tej ławce najkrótszą drogą umykał do domu, wtem uczuł się pod wejrzeniem kilku par zdziwionych, potępiających go oczu i... stanął, jak wryty. — Dziwne obyczaje w takie gorąco bez kapelusza chodzić — mruknął Łukasz pełen zadowolenia, że wreszcie oko w oko spotkał się z głównym szkodnikiem i odszedł poświstując wesoło.

Podobno goście podzielili się jakoś dwiema gruszkami, ale mały winowajca długo patrzeć nie mógł bez żalu i smutku na ten rodzaj owocu.

— Aha, panie Kaziu, mała rzecz, a duży wstyd!

Wiochna z pod Lublina.

SKARBY STAREJ SKRZYNI.

(Dalszy ciąg).

Przedpokój był duży i ciemny; na ścianie wisało kilka strzelb i różne trofea myśliwskie: jelenie rogi, łby z dzików, wypchane jastrzębie i puchacze. — Koło drzwi wisało kilkanaście wianków z żyta i pszenicy, dary żniwiarów, mocno już przypruszone kurzem. W rogu na dużym staroświeckim kominie paliła się kłoda dębowego drzewa, rozweselając światłem i ciepłem ponurość sieni. Dzieci rozebrały się prędko i wszyscy razem weszli do sali, gdzie ich niecierpliwie oczekiwała babcia; powitane i uściskane serdecznie, ośmieliły się wkrótce i rozglądać się zaczęły z ciekawością po nieznannej im dotąd miejscowości. — Wszystko tu było inne niż w Warszawie: jakieś poważne, stare, ponure; i te wysokie, wąskie, spiczasto zakończone okna, które tak mało światła dziennego przepuszczaly, te wielkie poczerwiałe portrety przodków o marsowatych, grznych postawach, całkowicie w stał zakutych i czarne fotele, stojące rzędem pod ścianą, — Przyjemnym i wesołym, był tylko jeden kącik koło kominka, na którym tu jak i w przedpokoju palił się z trzaskiem wesoły ogień i ładne światło rzucał na otaczające przedmioty.

W około też kominka po pierwszych chwilach przywitania zasiadła babcia i pani Wozycka z dziećmi i za-

czął się szereg ciągłych pytań i odpowiedzi, wesołych obustronnych opowiadań, żartów i conceptów.

Pani Załączyna była uradowana z wnuków.
— Mój jegomość — rzekła do stojącego na ubo-
czu p. Błażeja — wam oddaję pod opiekę dziateczki, sta-
rajcie się je zabawić jak możecie, żeby znudzone nie po-
uciekały wam z tego ciemnego, starego kąta. One po-
trzebują zabawy, światła.

— O niech się mama niczem nie martwi — pod-
chwyciła pani Wożycka — będzie im u babci doskonale,
jest ich zresztą sześcioro, dadzą więc sobie radę. Mo-
że być nawet za głośno i za hałaśliwie.

— Ja bardzo lubię hałas — odpowiedziała babcia,
a wnuki na nią wdzięcznie spojrzwały — ale teraz chodź-
my na obiad — dodała, widząc wchodzącego do pokoju
służącego.

Obiad był smaczny i dzieci wygłodzone długą po-
dróżą zjadły go z apetytem, a wstawszy od stołu pod
opieką p. Błażeja poszły zwiedzać cały dwór, który zawie-
rał bardzo wiele ciekawych, a nieznanych dzieciom przed-
miotów.

W jednej sali naprzykład stało tyle całkowitych
zbroi, że przeleknięta Zosia zawołała:

— Wojsko, wojsko, ja się boję! — i z wielkim płaczem
schowała twarzyczkę w fałdach sukni Marysi.

— Nie bój się Zosieczko, nic ci się nie stanie. To
nie jest wojsko — i troskliwy Adaś, wzięwszy ją za rękę
zaczął tłumaczyć, co znaczą ci rycerze i jak się nazywa-
ją oddzielne części dawnego uzbrojenia.

— A to husarya — zawołał biegnący naprzód Ju-
lek, wskazując palcem na kilka ciężkich zbroi z ogro-
mnymi skrzydłami z piór stalowych — ja takie same
widziałem w Warszawie na wystawie starożytności.

Dzieci przyglądały się wszystkiemu ciekawie, zada-
jąc rozmaite i pytania.

— A ta wieża, którą widać z tak daleka, przyjeżdża-
jąc do Załęcza — zapytał Adaś — co ona znaczy?

— To wieża dawnego zamku, który stał niegdyś
na tej górze. Zamek zburzony został, a wasi dziadko-
wie pobudowali ten oto dom i przenieśli tu rzeczy ura-
towane od zniszczenia.

— A co w tej wieży jest teraz? — zapytała, ciekawa
jak zwykle dziewczęta, Marysia.

— Na dole jest mały pokoiczek, w którym ja mies-
zkałam.

— I nie boi się jegomość — szepnęła Józia, oglą-
dając się trwożliwie po mrocznych kątach ciemnego ko-
rytarza, w którym się teraz znajdowali.

— Czegóżbym się miał bać? Złodziei tu niema,
a ludzie, dzięki Bogu zmądrzeli, nie wierzą, aby jakie
strachy były na świecie. To tylko w starych bajkach
o strachach się mówi.

Dzieci nabrały odwagi, bo także do mądrych lu-
dzi nie wierzących w strachy chciały należeć, a Adaś
znowu zapytał:

— A na górze na wieży czy nic niema?
— Na górze jest lamus.
— Co to lamus? — zabrzmiało razem parę głosów.
— To takie miejsce, gdzie wszystkie stare, nie-
przydatne na nic rzeczy się składają.

— A pójdziemy tam kiedy? — i dzieci przymila-
jąco spojrzwały na p. Błażeja.

— Po co? — tam tylko nietoperze latają przez po-
tłuczone okna i myszy burmistrzują wśród gratów.

— Brrr — wstrząsnęły się ze zgrozą dziewczynki —
brr... nietoperze; gdyż bardzo nie lubiły tych ponurych
stworzeń.

Ale chłopcy nie zrazili się tak małym niebezpie-
czeństwem i wymogli na p. Błażeju, że ich kiedy zaprowa-
dzi do tego opuszczonego miejsca, które bujna ich wy-
obraźnia napełniała zaklętymi skarbami.

Parę dni minęło dzieciom bardzo mile na ogląda-
niu ciekawych rzeczy i na wspólnej zabawie. W ogro-
mnym dworze Załączowskim lepiej się było bawić w ko-
nie i w wojnę, niżeli w ciasnych warszawskich mieszka-
niach. Wieczory zaś spędzano w pokoju p. Błażeja, a stary
jegomość, paląc ulubioną fajeczkę, opowiadał straszne
bajki, a częściej jeszcze prawdziwe zdarzenia, których
w długim swym życiu był świadkiem.

(d. c. n.)

Zagadka rebusowa.

Która powieć litera
Co za wyraz zawiera?

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Iskierki z pod Lublina dla Brzydutki
z nad Tamizy.

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których
początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół
utworzą pozdrowienie noworoczne. — e—drya—gród—
fez—o—rot—ri—leu—nał—ka—wan—ki—or—u—go—
łan—kar—i—li—oh—ter—sza—na—kiew—si—dam—dy
—fran. — Znaczenie wyrazów:

1. Dawniej używany środek leczniczy.
2. Rodzaj drze-
wa.
3. Przyprawa do ciast i potraw.
4. Stacja kolei Nadwiśl.
5. Starożytne miasto greckie ze sławną świątynią.
6. Miasto w gub. Tyfliskiej.
7. Miasto na Szląsku.
8. Miasto
w Holandyi.
9. Roślina należąca do rodziny jaskrowa-
tych.
10. Stopień hierarchii kościelnej.
11. Polska nazwa-
fuksyi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

Z	I	M	A
I	R	A	N
M	A	I	N
A	N	N	A

Rebusików:

- 1-go. Staś wybiegł naprzeciw wuja.
- 2-go. Podwieczorek podano w ogrodzie.

Skrzynka do listów.

Dr. Chomickiemu w Mikotajewie. Żądany początek posłano. Roczniki mamy tylko jeszcze z lat następnych: 1886—1889 i 1890. Cena zwykła

Czarnooka z Puszczy przysłała nam liścik do Brzydotki z nad Tamizy, gdy ta opuściła Europę, udając się do Ameryki, gdzie posyłać jej będziemy Wieczory, skoro nam adres swój wskaże. Pożegnała tak nas, jak i korespondentki swoje serdecznymi wyrazami, za które należą jej się od nas wszystkich życzenia szczególniej podróży. Nie prędko jednak ją dojdą!

Życzenia przysłane nam przez **Zorzę** należą, jeżeli nie do „najpierw” nadeszłych, to przynajmniej do rzędu tych, w których szczerość mocno ufamy.

„Jest nas czworo, — a jakich milutkich, to widać z liściku, w którym „poznać się dają”. Sz. nauczycielka téj czwórki nie musi z nią mieć wiele kłopotu, skoro tak chętnie przyłącza się do ich grona w odezwie jej do nas.

Zagadkę nadesłaną przez **Rycerza** musimy przejrzyć, zanim go uwiadomimy, czy będzie mogła być wydrukowaną, zaś **Podróżniczka z pokładu „Mewy”** nie nadesłała rozwiązania swéj łamigłówki.

Figlarko droga, twoje pytanie wygląda na... żarcik! Od czegoż byłyby pseudonimy, gdyby je Redakcja zdradzała? a także, dla czegoż by Redakcja wyjawiać miała tajemnicę, którą okryć się pragną pracującą w niej osoby?

Powiaстка konkursowa **Maćka Podolaka** przysłała w porę; niech ta wiadomość uspokoi strach, który wszakże piszącemu w dwóch liniach nie przeszkadza pisać wcale foremnie — zupełnie nie jak Maciek!

Rs. 1 pozostały w Redakcyi, zostanie policzony na rachunek prenumeraty **Kopciuszka**.

Miło nam się dowiedzieć, że mamy w **Legendzie** tak chętną i pilną czytelniczkę, postaramy się, aby ją i w tym roku zadowolnić, korespondentki o które się dopytujesz dawno się do nas nie odzywały.

Wiochnie z pod Lublina szczerze winszujemy umiejętności użytecznego zapelnienia czasu. Życzeniu **Iskierki** stanie się za dość. Bajka o **Madeju** już nieraz była drukowaną. O innych rzeczach przy okazji pomówimy.

Słonecznik polny niech zastosuje do siebie odpowiedź daną **Rycerzowi**.

Cierpliwości, **Światelko**, cierpliwości! dowiesz się z czasem całej prawdy, nawet nie widząc się osobiście z **Jankiem** sierotą.

Stefankowi M. Wieczory wysłane według życzenia.

Opocznia z nad Czarnéj chętnie zapisujemy w grono naszych prenumeratorów i korespondentów tém więcej że kaligrafia jego liściku bardzo miłe czyni wrażenie. Toż samoj powiedzieć możemy o kaligrafii jednego i drugiego **Stefanka M.**

Za serdeczne a miłe dla nas słówko **Kuropatewko z nad Warty** i załączony opłatek przesyłamy ci serdeczny pocałunek. Podobneż podziękowania i pocałunki przesyłamy wraz z **Gołąbką: C. dur Macierzance, i Niezabudce z nad Chomoru Gamie**.

Za życzenia nam posłane ściskamy serdecznie miłą **Sosenkę**. Jakże radziłyśmy ją widzieć kiedyś w naszej Redakcyi podobnie jak inne czytelniczki. Mama jak to zawsze mamy miała rację i odgadła przyczynę zawodu doznanego przez **Sosenkę**. Należy też i w innych podobnych okolicznościach zasięgać jej zdania zanim się o czemś zwątpi.

„Zawczasie kwiatku, zawczasie” słowa te niech **Lilijka z nad Wili** stosuje do wiadomego wierszyka, który jeszcze nie do druku. Nie przeszkadza to że talent młodej autorki może się później przy pracy najpiękniej rozwinać i dla tego radzi jesteśmy że nam tę próbę przysłała.

Kochana **Biała Ostróżko!** Dziękuję ci żeś do mnie napisała. Mam lat 11, nazywam się **Teresia**. Dotychczas uczyłam się przy **Ukraince** (na **Mazowszu**) a teraz umieszczono mnie dla mojego dobra u p. M., która mnie uczy. Ściska cię serdecznie, **Ukrainka z kącika**.

Droga Horpyno! Przeczytawszy liścik twój odzywam się zaraz do ciebie. Na imię mi **Marya**, mam lat 15, cztery młodsze siostry i jednego braciszka, mieszkam na wsi, uczę się w domu, najbardziej lubię muzykę, tém więcej, że moja nauczycielka bardzo ładnie gra. Odpisz **Rezedzie**.

Dawna Topolko z Żytomierza! bo teraz podobno inny przybrałaś pseudonim i dobrześ zrobiła, bo **Topolka** zimą tak smutno wygląda, a ja chcę, żebyś była zawsze wesołą. Pragnę z tobą korespondować, czy życzysz sobie tego? Nie jesteśmy w jednym wieku; młodsza jestem, prędko zapominająca uraz, czasem sprzeczną, gdy się spotkamy, ale zawsze bardzo cię kochająca. Lubię kwiaty i dla tego odpowiedni wzięłam pseudonim, a teraz zgadnij kto jestem. Ściska cię serdecznie przywiązana, **Ogrodniczka**.

Spełniam z największą przyjemnością życzenie twoje, kochana **Niezapominajko z Zacisza** i proszę także o liścik. Jak ci na imię? Czy dawno czytujesz **Wieczory**?... Dziękuję ci, **Wróżbiarko** szczęścia, za odpowiedź; dlaczego tak długo zawsze czekać każesz na twój liścik? Co robisz wieczorami? Przyjmijcie ucałowanie i pamiętajcie o **Niezapominajce z nad Warty**.

Miła Kuropatewko z nad Warty! Podobałaś mi się bardzo z twego listu do **Sikorki**, pragnę więc być pomieszczoną w rzędzie twoich przyjaciółek; piszesz, że masz ich dwie, niech więc ja będę trzecią, bo zdaje mi się że łatwo się zrozumiemy, ponieważ jednakowe mamy upodobania i ja bardzo lubię gospodarstwo, a nade wszystko kwiatki. Donieś mi, czy się uczysz i lubisz muzykę, bo ja bardzo. Odpisz, proszę przez nasze kochane **Wieczory, Królówój lalek**.

Przepraszam was droga **Cyganeczko** i **Zorzo** za tak długie milczenie, ale jego przyczyną jest brak czasu. Biała bez jest moim ulubionym kwiatkiem, dla tego wzięłam go sobie za pseudonim. Jestem w jednym wieku z tobą kochana **Śpiwna Liro** gdyż niezadługo skończę 14 lat, dla tego pragnę z tobą się zapoznać, donieś mi gdzie mieszkasz, czy masz rodzeństwo i jak wyglądasz. Z niecierpliwością oczekiwać będę waszych odpowiedzi. **Biały Bez**.

Kochana **Horpyno** i szumiąca **Wodo!** Piszę do was w nadziei, że nie zrobicie tak jak inne panienki i odpowiecie na moje pytania: Gdzie mieszkacie? Czy macie rodzeństwo? Czy lubicie się bawić? Oczekująca odpowiedzi wasza **Złota Pszczółka**.

Drogie moje: **Fioleczku z nad Wisły, Filaretko, Brzydotko z nad Tamizy, Czarnooka z puszczy, i ty Gammo C dur!** Noszę imię **Maryi**, nazwisko moje zaczyna się na **Ruc...**, mam lat 14, mieszkam w **Kamieńcu**, uczę się w domu, najlepiej lubię historię i geografję! co do powierzchowności jestem sobie małą rumianą blondynką. Przytem dodajcie do tego siostrzyczki moje, ogromną, kozakowatą trochę wesołość i oto całość gotowa! Kończę, całując was wszystkie serdecznie. **Poranek majowy**.

P. S. Rosiczkę, **Córę Mazurów, Kopciuszka, Ostróżkę** białą, **Niezapominajkę z nad Warty, Gałązkę heliotropu, Iskierkę i Białą Chmurkę** wraz z **Jodelką z nad Noteci** ściskam stokrotnie!

Kochane, i miłe przyjaciółeczki, korespondentki i współczelniczki „**Wieczorów**”! W przededniu podróży bardzo dalekiej przysyłam wam wszystkim przy nadchodzących Świętach i Nowym Roku najserdeczniejsze życzenia, pozdrowienia i prośbę o pamięć! Pisujemy do siebie i nadal, gdyż „**Wieczory**,” i na drugą półkulę ziemską dochodzić mnie będą. **Brzydotka z nad Tamizy**.

Wszystkim współczelniczkom „**Wieczorów**”, serdeczne życzenia Nowego Roku, przesyła **Kuropatewka z nad Warty**.

Kochane Czytelniczki „**Wieczorów Rodzinnych**”! Donoszę wam iż zmieniłam pseudonim z **Kołowrotka** na **Sroczkę z nad Wisłoki**. Ściskam was serdecznie.